

1.

Rozległa przestrzeń oazy pełnej zieleni, otoczona przebijającą pomiędzy drzewami piaskową, równomierną tkaniną wyczesanych w fale wydm i zachodzące słońce tworzyły tak uroczą kompozycję, że Kyle zaczął żałować, że nie jest profesjonalnym malarzem. Albo chociaż osobą z odrobiną talentu, takim ziomkiem, który siedział kiedyś przed nim na wykładach i non stop rysował zupełnie realistyczne rysunki. Może niekoniecznie były to panoramy, ale cóż w głowie mogło siedzieć studentowi na wykładzie nudnym jak tapeta w motylki. Wiadomo, nie wszystkie są ciekawe, najbardziej człowiek wkręca się w te tematy, które sam lubi. Sam szkicował kiedyś, ale amatorsko, w liceum, ale potem zapał umarł – tyle, że coś tam umiejętności zostało. Tu przydałby się sprzęt. A aparat rozładowany.

Skąd tu można wziąć prąd? Pewnie że mają, w ośrodku, za płotem. No tak, ale czy wtyczka będzie pasować...takie jak u nas są przy lampie w łazience, niby do golarki. Więc i bez przejściówki się da. Ech, problemy pierwszego świata...a właściwie trzeciego – zaśmiał się sam do siebie. Schowam tego trupa do kieszeni, żeby w piachu tu nie został. Ale jest pięknie, przepięknie i już się nie odzobaczy. Za to między innymi cenimy mózg – za wspomnienia. Bez wątpienia mózg to wspaniała maszyna. W ogóle cała neurochemia jest bajeczna. Ten cwany mechanizm białek c-Fos i Zif268, tyle lat studiów, żeby to przełamać i kontrolować...

Kolejne neuroprzekazniki zadziały i mózg Kyle'a powiedział mu, że za dużo myśli o mózgu, a więc i o pracy, a co gorsza nadmiernie rozumie, jak ten przekaz jest realizowany, a w ogóle to rekurencja, żeby jakimś rodzajem białek myśleć o nich samych. Przynajmniej jakieś splątanie. Zboczenie zawodowe w całej okazałości? Może ja już jestem psychiczny? Jestem na urlopie urlopie urlopie. Powtórzył tak dla zabawy. Urlop – utrwali się może, ba, dotrze ze zrozumieniem, bo po tylu latach pracy na uniwerku i w laboratoriach przerywanej wyjazdami na sympozja takie słowo „urlop” to takie trochę nierzeczywiste. Ha, białka działajcie, pora na wspierającą was kawę chyba. Taką wieczorną. I poczytamy sobie potem jakąś fajną książkę, taką nie o chemii.

Podniósł się, zabrał ze sobą ręcznik, dmuchaną poduchę i klapki i korzystając z faktu, że piasek jeszcze był przyzwoicie ciepły poszedł boso obrzeżem zielonej wyspy, tam, gdzie już żółte, półpłynne morze kwarcu zyskuje organiczne spoiwo, twardnieje i staje się piaszczystą glebą, w której oparcie znajdują korzenie pierwszych drzew i zmartwychwstanek.

.Nie była to oczywiście najkrótsza droga do ośrodka wakacyjnego, ale z pewnością przyjemniejsza, niż prowadzący akurat z zachodu przez centrum do ośrodka zakurzony trakt między sadybami pasterzy i miejscowych cwaniaczków, zawsze gotowych na dorobienie sobie na turystach. One dollar nation czekało w postaci mistrzów sztuki sprzedaży, negocjacji i nagabywania oraz przeważnie stojących za ich plecami skromnych adeptów sztuk powyższych, potrafiących niekiedy zręcznie wyciągnąć z ręki dolara albo z kieszeni nawet cały portfel i oddalić się w tempie bohaterów kreskówek. Niby wieczorami znikali w swoich domostwach i namiotach, ale ponieważ konstrukcja tych ostatnich bazowała na drewnianych pa-

likach i żerdziach, na których narzucono koce, płócienne i skórzane płachty – to gdy się przechodziło słyszeli to i niekiedy zaczepiali jeszcze.

Był może w połowie drogi. Powiało chłodem, więc ręcznik narzucił na plecy. Słońce jeszcze było widać, ale z zachodu pojawił się podmuch wiatru silniejszy, niż można było się spodziewać o tej godzinie. Niebo w okamgnieniu zmatowiało; rozbłysk, potem skrzywienie na widnokręgu, dosłownie jakby w kineskopie przepalała się lampa. Burza piaskowa? „Well, that escalated quickly” - zaśmieszkował mózg, ale bez przekonania. Widać kawy białkom brakuje. Spokojnie jeszcze zdążę, ale spanie przy otwartym oknie nie wchodzi w rachubę. Kyle przyspieszył kroku, ale odniósł wrażenie, że stoi w miejscu. Nogi nie dają rady. Nie rusza się. Świat się nie rusza. Wszystko się zatrzymało. Zatrzymało. Zet.

Dla mózgu światło zgąsło a usta i nos w nagłym uderzeniu gorąca wypełniły się pyłem. Kyle zachłysnął się i zasłonił twarz. I potem nicość.

2.

W totalnej ciemności zamajaczył rozmazany punkt światła. Kyle dusił się, jednocześnie patrząc w ten punkt. Plama taka. Punkt na koniec. Poruszały się w nim jakby płatki, może to płatki róż, może to tak właśnie ma wyglądać. Światło i płatki róż.

Nagle puściła blokada, płuca zaciągnęły powietrze, pełne prochu i Kyle zakaszłał i prawa ręka sama sięgnęła do twarzy.

Ale ona była poza ciałem! Nie mogę sięgnąć do ust. Moja ręka jest poza ciałem! Panika, trochę. Czekać, zasłanianie nią niebiańskie światło i róże... Myślę. Otwórz zasłanianie, otwórz. Otwórz. Myślę. Jestem w worku. W worku jest dziura. Myślę. Myślę. Rękę mam w innym worku. Albo kombinezonie. Myślę. Pewnie ochronnym kombinezonie, to musiało być jakieś doświadczenie i coś nie poszło. Tak.

Kyle spróbował skupić się na tym, co widzi w dziurze. Wirujący pył – to on był płatkami róż. Perspektywa, światło, jasne. Czy można zobaczyć rękę?

Można, szary worek, może czarny bardziej. Ręka jest w środku. Pył posypał się przez otwór. Zamykam oczy. Myślę. Też jestem w czarnym worku, on ma rękawy, takie tuby i tam mam rękę. Prawą. Lewą mam?!? Panika trochę, ale mam, szeleści jak się rusza palcami, ale trochę, jej nie da się nią zasłonić dziurę. Nie mogę nią ruszyć – palce są a ręki jakby nie było. Przygnieciona albo coś niedobrze z nią. Niedobrze, teraz ją czuję, boli. Ogólnie niedobrze. Nie panikuj. Znajdą cię przecież za chwilę, światła nie wysadziłeś. Pauza. Może to worek na trupa? Panika. Panika mniej – worek na trupa nie ma rękawów. Zamek ma. I solidny taki jest a nie foliowy. Może jednak strój ochronny jakiś. Nie pamiętam takiego stroju, żebyśmy mieli w instytucie. Myślę. Ale może to amnezja chwilowa, tak, tak, na pewno amnezja.

Dopchał powierzchnię dziury prawą ręką – najpierw do oka – szaro, gdzieś po prawej źródło światła ale go nie widać. Do ust – zdecydowana poprawa powietrza – zresztą jak się zastanowić, to czuł to już wcześniej, że właśnie ta dziura zapewnia mu najlepsze powietrze, a może zresztą i całe – ale mózg był zajęty czym innym i panika musiała trochę przejść w zimną kalkulację, żeby dziura w worku została doceniona. Dobra dziura. Wepchał koniec worka osłaniającego rękę do ust i szarpnął. Poszło łatwo, zgrzyta ten piach w zębach, kolejna dziura na trzy palce, tylko ten pył – natychmiast wzniósł się w powietrze z szarpanej folii i zaatakował oczy i płuca. Ale nic to – chwila kaszlu i już prawa ręka ma palce i możemy się w końcu z tego worka urodzić. Częściowo. Na razie głowa.

Kyle rozdarł dziurę równie łatwo, jak i sporządził poprzednią. Obrócił się w lewo, na bok, żeby zobaczyć co z lewą ręką i zorientował się przy tym, że jego worek wcale nie miał takiej banalnej konstrukcji. Tak, była to folia, ale miała na oko ze trzy cienkie warstwy, a wraz z nim wewnątrz znajdowała się forma łóżka, taka dość wąska leżanka. Przynajmniej na tyle, na ile mógł to ocenić, to od góry jej kształt przypominał nosze z kółkami, takie z karetok pogotowia. Brytfanka taka. Na człowieka. Musiała konkretnie zamortyzować upadek, przecież jest miękka. Fuks.

Potrzeba spokoju. Spokoju. Lewa ręka jest przyciśnięta czymś. Palcami daje się ruszać. Raz-dwa-trzy-cztery-kciuk – ile to radości – mam palce u rąk. Jednymi mogę ruszać, a drugie widzę. Czym ona jest do cholery przyciśnięta jak nic na niej nie leży? Wepchajmy tam prawą. Mokra. Niedobrze. Krew pewnie. Popatrzmy... Krew! Kapnęła mi prawie do oka. Niedobrze. Macamy raz jeszcze – nabita na pręt, tu blisko, dużo powyżej łokcia. Wołać pomocy? Ależ oczywiście, należy wołać pomocy! Pomocy!

Pierwsza próba krzyku wyszła mizernie, Kyle zaczął mocno kaszleć, a jako że część adrenaliny zeszła już, to poczuł, jak bardzo ta jego lewa ręka jest jego. Potem już wołanie poszło lepiej. Jeżeli celem miałyby być zapewnienie ciągłości echa przez kilkanaście minut – to nawet doskonale. Przestał, gdy ból spowodowany przez nabieranie w płuca powietrza i wynikający z tego ruch nie zaczął być większy, niż nadzieja, że ktokolwiek nadejdzie z pomocą.

Szlag nagły, czy ten pręt przechodzi mi przez rękę na wylot? Obadajmy to - chwila prawdy – no nie, ale coś tam jest, ręki nie wepcham bo ból jest nieznośny, czekaj, przecież to jest na zewnątrz tego worka, na zewnątrz to jest, to gruz zwyczajny, beton, cegła, nie widzę bo ten worek zasłania i musiałbym go porwać, a to boli, ale czuję to w ręce. Da się ruszyć? Da się. DA SIĘ. Odsunąłem.

Zupełnie spory okruh betonu stoczył się w dół, przekonując do tej wycieczki pomniejszych pobratymców; zabębniły po jakiejś blasze i pokurzyły trochę, ot górską wycieczka schodząca ze szczytu. Zanim Kyle podjął próbę uwolnienia ręki, jego workowaty tobogan podjął ją za niego, rozchwiany jego ruchami zsunął się o jakiś metr na zasypaną prochem i gruzem podłogę. Chwila krzyku i po bólu – ale jak już tego nie usłyszeli to chyba ostatecznie nikogo tu nie ma.

Kyle podniósł się do pozycji siedzącej, z nogami cały czas w worku, trzymając się za krwawiącą rękę (co wcale wygodnie nie było) rozejrzał się półprzytomnie. Faktycznie, musiała nastąpić konkretna katastrofa, Gruz wszędzie było zupełnie sporo. U góry nad głową – dziurę zablokował kawał betonu i jakieś metalowo – przezroczyste, przypominające może w pierwszym skojarzeniu awangardowe pralki, a raczej ich strzępy. Parę blach pewnie od nich spadło w ogóle na podłogę. Dalej wokół już wszystko całe - betonowe ściany, jakieś symbole, częściowo działające światło w sufitach i wciąż obecny posmak betonowego kurzu. I żadnych drzwi, za to kilka korytarzy. Coś jakby podziemia, ale nie mógł przypomnieć sobie takich w instytucie. Więc szpital.

Dużo szczęścia, że żyję. Przecież ja chyba spadłem do jakiejś piwnicy. I czemu byłem w worku na noszach? Awaria w szpitalu? Czemu byłem w szpitalu? I co ja właściwie robiłem, że trafiłem do szpitala?

A co ja w ogóle mam na sobie? Przecież to coś jak trykotowa piżama obcisła, jak na kolarza i jeszcze jakieś opaski, druty z nich wylażą urwane. Może też dobrze, że obcisła, bo krew przytamowała. A co to do cholery jest? Wenflon? No wenflon, wenflon, przez materiał wbity. No ciekawe, jak żyłę znaleźli... Dobra, czyli szpital na 100%. Na coś jestem chory. Właściwie, każdy jest na coś chory, są tylko nieprzebadani. Głupkuję, mam dziurę w ręce, krew się leje, nie wiem co się dzieje. Jakiś punkt zaczepienia chcę. A tu próżnia i pył kosmiczny. Te opaski, uciski takie. O, mam nawet napis, pod brodą, popaprałem krwią, cholera. Kyle. Kyle tu jest napisane. Teraz jakoś tak do wszystkich po imieniu, nawet kawę zamawiasz i wołają „Kyle” jak im się nieopatrnie przy zamówieniu imię poda. Głupi zwyczaj. A nie nawet, nie Kyle, tylko zero zero i V. Przekreślone. Zdyszałem się, tak w ogóle. Ale też i odprężenie takie dziwne.

Kyle położył się płasko i powolnymi ruchami wypełził z dolnej części worka, zapewniając sobie jednocześnie masaż pleców betonowym zwirem. Nogi okazały się być całe, białe i w białych skarpetkach, dosłownie wyglądających jak takie „fluffy” na zmarznięte stópki chorych córek. Nawet zapewniały jakąś ochronę przed ostrymi okruciami betonu – przynajmniej wstępna próba zrobienia paru kroków wypadła pomyslnie.

Popatrzył na worek i nosze. Raczej musiało być to łóżko szpitalne będące częścią bardziej skomplikowanej maszyny – już samo to, co wystawało z worka miało z boku jakieś przyciski czy sensory, martwe bo martwe ale ewidentnie wyświetlacze i coś, co przypominało gniazda światłowodowe w starych sprzętach Technicsa. Ale to kiedyś grało.

No a teraz chyba pora znaleźć drogę do wyjścia z tej imprezy – pomyślał. Nieświadomie puścił lewą rękę i prawą odchylił worek – niewątpliwie najlepszy szpital, bo najbardziej nowoczesna aparatura – skonstratował. No ta to już się nie przyda, ale w ogólności. Krew nie lała się nawet za bardzo, widać pręt nie trafił w żadne większe naczynie. Nogi – całe chyba, ta śmieszna piżama nawet nie zadraśnięta. Ręce – wiadomo, poszyją, wyleczą, nawet ruszać lewą mogą, tyle że boli i może znowu się ta jucha puścić, lepiej

nie, a właściwie to mogę tą opaskę o tu przesunąć do góry trochę to zaciśnie ranę. Zabolało, zaszumiało nie ma rany już. Przynajmniej nie widać. No widać krew, widać, ale się nie leje tylko co? Kapie? Też nie, sączy się – o nasącza opaskę i pizamę ale nieznacznie. Pewnie lekarz to poogląda za chwilę.

Schody – w każdej piwnicy są schody. No wiadomo, że winda jest, nierzadko towarowa, albo i właściwie zawsze jest towarowa do piwnicy w szpitalach bo tam się trzyma ciężkie rzeczy. Ale działa jak każda winda. Mogę i windą pojechać, pewnie jestem na minus jeden albo cholera wie minus ile, ale gdzieś będą schody i pewnie winda. Nogi działają, niepotłuczone, cud właściwie, będzie co opowiadać. Żeby tylko drzwi nie przeoczyć, czasami w piwnicach nie dają tabliczek na drzwiach a na schody to mogą być takie przeciwpożarowe, nie będzie widać, że tam akurat są schody.

Kyle przeszedł dobrych kilkaset kroków, z kilkoma postojami na odpoczynek, znajdując nawet nieciągłości w ścianach w postaci jakichś zamkniętych szaf czy schowków, ale drzwi nie było. Korytarz lekko skręcał w lewo i kończył się czymś w rodzaju salki, ale puste, bez nawet jednego mebla. Pył wypadku dotarł i tutaj, tak że na podłodze widać było, skąd przyszedł i jak działają zawirowania na krawędziach wlotu do komory – obszary turbulencji zaznaczyły się nieco innym kolorem na generalnie jaśniejszej, jastrychowej i pokrytej jakąś jasnoszarą, ale odstającą od koloru surowego betonu ścian.

Nic, tylko studentów przyprowadzić – oczywiście nie moich, wystarczy, że rozumieją dyfrakcję. Ale Roy by się ucieszył – taki uroczy praktyczny przykład wtrysku w makroskali. No może nie paliwa, ale pyłu betonowego. Studenci lubią takie rzeczy, w makroskali. Wtrysk pyłu betonowego – zabawne.

Dobra, mam inne zmartwienia – gdzie są drzwi. Tu nigdzie nie ma drzwi. Nigdzie. Mógłbym nawet znać, jak Tomek Sawyer te miejsca gdzie już byłem, ale tu są do cholery tylko trzy korytarze i pamiętam je, widzę w pyłe swoje ślady, nigdzie nie ma wyjścia... A może ja jestem w fundamentach? Cholera wie, może są w fundamentach takie próżnie, miejsca, które pozostają całkowicie zamknięte, bez wejścia? I nie będzie powietrza, dlatego tak się męczę, bo jest mało powietrza, coraz mniej...

Panika trochę, ale myślimy racjonalnie – to po co oświetlenie? Przecież skoro nikt tu nie przychodzi? I skąd tu mimo wszystko powietrze? Źle się pewnie oddycha, bo zmordowałem płuca pyłem, chodząc też go wzruszam. Choć może klatka schodowa czy winda były tam, gdzie gruzowisko? Jestem odcięty, ale przecież wiedzą chyba, że zaginałem, odkopią.

Kyle wrócił do gruzowiska i zaczął uważnie przyglądać się elementom blokującym wyjście. Wyłączając na gruzy poszarpał trochę metalowe elementy „pralek” odskakując na wypadek lawiny, ale dość szybko skonstatował, że nic to nie da. Za cały efekt uzyskał jedną ni to gałkę, ni to pokrętko, może o parocenty-

metrowej średnicy – bo tylko do udało się urwać, wyłaząc na gruzowisko i szarpiąc odstające elementy. Była w świetle z sufitu wydała się jasnozielona, bardzo lekka, postanowił schować ją sobie ot tak, przy czym zauważył, że nie ma kieszeni – kulka trafiła więc do skarpety na nodze.

Potężne kawały betonu zablokowały wyjście a aparatura podziałała trochę jak uszczelka – miażdżona podopychała kilkumetrową dziurę, którą niewątpliwie Kyle teleportował się tu z wyższego piętra. Fakt, że nie został zmiażdżony zawdzięczał tylko temu, że główny kawał betonu lecący za nim nie zmieścił się w dziurę ani też nie zdołał jej rozerwać i poszerzyć. Pokrzyczał jeszcze chwilę, ale jedynym efektem było zgaśnięcie w tym czasie jednej z bardziej oddalonych lamp korytarza. Poszedł tam, ale oczywiście nikogo nie było. Zbieg okoliczności, ot tak, dla podniesienia ciśnienia. Z ciężkim oddechem wrócił więc do gruzowiska i bez pomysłu siadł na noszach, które, choć niesamowicie ciężkie, przewlókł kawałek dalej w głąb, kalkulując, że ekipa ratownicza może doprowadzić do zawalenia się „pralek” a przede wszystkim ogromnej bryły betonu – a mierzyć się z nią nie chciał.

W kompletnej ciszy, po około godzinie usłyszał wreszcie jakieś głosy.

Podbiegł do rumowiska, wsłuchując się w dźwięki inne, niż własnego oddechu i zgrzytu pyłu pod nogami. Dźwięk przenosił się przez aparaturę, gdzieś uchowała się jakaś nieszczelność i ludzie rozmawiający na górnych kondygnacjach byli ledwo bo ledwo, ale słyszalni. Już miał zacząć krzyczeć do tych, którzy go szukali, ale na chwilę skupił się na tym, o czym rozmawiali i na czymś jeszcze dziwniejszym – braku wcześniej jakichkolwiek dźwięków kopania czy maszyn.

Przez dłuższy czas była cisza. Cichsze mamrotanie, jakby kilka różnych głosów, ale dało się z tego wyłowić tylko pojedyncze wyrazy. I nagle zdanie podniesionym głosem.

„Musimy go odzyskać, albo mieć pewność, że alis jest martwy”

3.

Narastający szurgot w gruzowisku upewnił go, że próbują się do niego przekopać. Słysząc było głosy pracujących, ale nierozróżnialne, tłumione przez gruzowisko. Prosta kalkulacja człowieka oczekującego ratunku w wypadku tu nie bardzo miała możliwość zastosowania i w głowie Kyle’a kłębiły się myśli, czy zbliża się ratunek, czy kłopoty.

Najpierw pojawiła się myśl, żeby wołać o pomoc. Ale z drugiej strony – gruzowisko nie było aż tak wielkie, żeby trzeba było ukierunkować ekipę ratowniczą krzykami. Tego jest może pięć na pięć metrów. Co tu „ukierunkowywać”? To trochę jak na wyburzeniu – miarowo wynoszą materiał, aż wreszcie dotrą tu na dół. Oni tam na górze doskonale wiedzą gdzie idą. I po co. Tylko czy to dobrze, czy źle?

Ostatecznie zwyciężyła ostrożność. Powoli i możliwie bez hałasu odgruzował i wyciągnął z osypiska swoje „legowisko”. Poszło nad podziw łatwo i leżanka z czarno-szarym workiem, zasypianym pyłem po-

wędrowała do kąta przy gruzie. Mogła służyć jako chwilowa osłona.

Tak strasznie mało pamiętam. No wiem, to pewnie od wypadku i uderzenia, na pewno pamięć wróci (na pewno?). Wróci, wróci. Jak nie sama, to jest medycyna. A teraz mnie odkopują. Ale czemu mają się upewnić, że „Alis” jest martwy? Przecież jestem Kyle. Kyle, a nie Alis...są już blisko. Może rozwalić naświetlacze? W ciemnościach nie będzie im tak łatwo, jak mają złe zamiary, a moje oczy zawczasu przygotowują się do braku światła... Głupiś, czym je rozwalisz? Są ze cztery metry nad podłogą, nawet nie wiadomo co to za pokrywa je zamyka. Kamieniami będziesz rzucał? Nie da rady...

Przekopują się. Słyszą – mają już blisko. Już się pył sypie. Klną jak swoi, choć akcent dziwny. To pewnie studenci. Tak, prosta gadka, jak mają cel, to czynią cuda. Studenci na 100%. No na 80. Po naszymu mówią...

Położył się na gruzowisku w rogu pomieszczenia gdzie wcześniej zawlókł leżankę – wlaź pod nią, wygodnie nie było, ale osłona wydawała się najlepsza z możliwych. Przeszło mu przez myśl, żeby wleźć do podartego czarnego wora będącego częścią leżanki, ale potem pomyślał, że najpierw będą go tam szukać, więc może chowając się za samą leżanką pozna ich zamiary choćby chwilę wcześniej, zanim pojawi się kontakt wzrokowy.

Przeszli, przekopali się - nie widział ich, ale to było czytelne – wynieśli na tyle drobniejszego gruzu, żeby precyzyjnie się pod większymi okruchami betonu. Chrząst, pospolite przekleństwa, cisza. Rozglądają się. No trudno, żeby nie zauważyli tego wyrka z czarnym workiem. Zauważyli.

- Jest tu kto?

Odpowiedzieć czy nie? Przecież i tak mnie znajdą... Ale może zanim wpadną na to, że się chowam, powiedzą coś więcej. Powiedzą? Szurgot kamieni. Wlaź kolejny pewnie. Drugi albo i trzeci – to mają przewagę... Zresztą, przecież mogą mieć broń, jaką ja mam przewagę nawet jeden na jeden...Adrenalina.

- Zasypało go bo głupi nie jest, przecież by odezwał się, jak żyje. Cholera, Andy, po nim jest. Takie głazy miażdżą każdego na papkę.

- Patrz, ta ich biokomora tu leży....

- Biostatyczna.

Chwila ciszy. Długa, jakaś na 12 uderzeń serca.

- Nie graj profesora. Cwaniakujesz. Powtarzasz jak papuga. Wiem przecież, jak oni to nazywają. Sam słyszałem, jak Crixby to skracał. Z dwadzieścia takich nosiłem.

Dziesięć uderzeń serca.

- Flak pusty, żywy wylazł?

Chyba zrozumieli, że z worka mógł wyjść tylko sam. Ale przecież umrzeć potem każdy może. Choćby z wykrwawienia...

- Patrz bracie, jest tu, rękę widać

Kyle poczuł, jak przebijają go szpilki strachu. Ruszyć się? Udawać trupa? Zaatakować pchając konstrukcję leżanki na nich?

Udawać trupa.

Nagle więcej światła. Odwalili leżankę, mają mnie na widelcu...

- Ron, przecież to blady.

Cisza, kolejna długa cisza, w której próbował oddychać tak, żeby nie oddychać. Zamknięte powieki (a może lepiej otworzyć choć trochę, podglądnać? - niee, zobaczą, że żyję).

- Od razu blady, pyłem opieprzony... Za mały zresztą.

- Może i tak. My ojców zasypywaliśmy marchewką, nie znam takiego pyłu.

Cisza. Patrzą. Na pewno myślą co zrobić, tylko ja k...a nie wiem, co oni myślą...Dobra, jestem trupem.

- Krew mu się leje konkretnie. Dawaj bandanę. On żyje, pewnie przytomność stracił. Przetrzyj mu twarz, zobaczysz sam. To ten ich beton.

Udawanie trupa stało się ciężkie. Ruszenie rany spowodowało odruch, którego Kyle nie mógł powstrzymać. Ból nie do zniesienia. Zmartwychwstał z tego bólu.

- Hej, ty żyjesz, (przecieranie twarzy jakąś szmatą), no otwórz oczy, będzie dobrze, uratujemy cię.

I słowa z tła – ... faktycznie to nasz, co on tu ... robi?

To zajęło może kilka sekund, ale do Kyle'a dotarło, że udawanie trupa nic już nie da i może nawet nie ma sensu. Tylko jak się odezwać? Debilny mózg karmiony adrenaliną zaproponował wstępnie „witajcie Ziemianie” ale to było wyraźne przeciążenie styków.

- dzięki za ratunek... - wymamrotał cicho, nawet nie udając słabego czy umierającego. Tak jakoś wyszło, słabo, jak gdy pierwszy raz po zrobieniu prawka zatrzymują cię gliny.

- No witaj wśród żywych, ziomek. Ron, on żyje, nie blady tylko tak oblepiony pyłem. Ich beton jest biały, no mają co chcą na tych swoich złożach. Patrz na jego twarz. To ten z ich doświadczeń, oni te numery mają. A00... Możesz się ruszać?

Oczy Kyle'a dostosowały się z powrotem do światła i dwoje ludzi, najbardziej przypominających strojem i wyglądem poczciwych, obielonych betonowym pyłem budowlańców, z których jeden prymitywnie opatrzył jego ranę przestało być źródłem nieustalonego zagrożenia a stało się chwilowo jedynym źródłem informacji. To jest moment, kiedy trzeba zadać jedno, podstawowe pytanie. Lub dwa. Wiązane.

- Panowie, co się stało i gdzie ja jestem?

Stojący nieco z tyłu, większy i czerwony na twarzy gość popatrzył pozornie tępo, mierząc Kyle'a wzrokiem. Widać było, że waży odpowiedź i że jest tu szefem – młodszy i mniejszy w żółtym kasku sam popatrzył na niego wyczekująco.

W tym momencie z góry, gdzieś przez przeryty tunel dało się słyszeć - „masz coś, Ron?”.

- Nic jeszcze, ale chyba już blisko – odpowiedział natychmiast ten większy, po czym podszedł kilka kroków bliżej Kyle'a i powiedział ściszym głosem:

- Kiedy cię porwali? Robili ci coś?

Chaos w głowie Kyle'a musiał odpowiadać tornadu na Haiti. W końcu urodziło mu się takie coś:

- Nie wiem co tu robię. Nie wiem co się stało. Nie wiem jak się tu znalazłem i co tu robię.

- Powtarzasz się. Łeb ci sprali. Masz ślady?

- Jakie ślady?

- Na brzuchu.

Zawahał się. Nic nie rozumiał. Niezdarnie zaczął podnosić obcisłą koszulkę, gdy mniejszy z nich podszedł szybko i szarpnął ją mocno do góry. Nawet nie zabołało. Za daleko od ręki.

- Nie ma blizn. Świeżak.

- Skąd jesteś? Ze wschodniej czy zachodniej?

Coraz bardziej przeradzało to się w egzamin, na który student przyszedł zupełnie nieprzygotowany. Tak właśnie się czuł. Za chwilę zapytają o odległość do Plutona...

- Panowie, nie mam pojęcia. Jestem znad Delaware, z Wilmington, nauczycielem jestem na uczelni.

- Z kim tam gadacie? - studzienny głos dobiegł z dziury. Ron pokazał reszcie, że ma być cicho i odkrzyknął – a z kim mamy? Dwóch nas tu jest, kopiemy sir, dychnąć musieliśmy, to gadaliśmy.

Mniejszy konfidencjonalnym głosem zapytał:

- szefie, skoro jeszcze szram nie ma, to oni go rozprują dopiero? Albo będą na nim doświadczenia prowadzić, jak na mnie?

Ron westchnął ciężko – sam dla nich pracujesz, wypiełeś wtedy za dużo i tyle. Nie było doświadczeń, sam żeś sobie łeb rozbił. Zresztą co by ci z czaszki wyjęli? Wodę i muł? Tego mają pełno w rzece.

Andy jednak myślał trzeźwo.

- Skoro im zależy, szefie, to go pod nóż chcą - a on jest jednym z nas, to przecież nie zostawimy swojego.

Ron, twardy z twarzy, jakoś zmiękł i jego fizys zrobiła się bardziej owalna.

- no tak. Po tobie będzie, jak ci tam. (- Kyle...) Kyle.... Kyle? No to od nas nie jesteś, znam wszystkich po wschodniej stronie do drugiej przeprawy i nikomu tak nie odważyło, żeby nazwać dziecko „Kyle”.

Po chwili niezręcznej ciszy Andy postanowił przedstawić swoją koncepcję:

- w gruzie go wyniesimy, są przecież te wanny gotowe na górze...

- ma to sens, Andy, ale nie w pierwszej i nie w drugiej, mogą przeszukać a ja mam dzieci.

Ron zwrócił się do Kyle'a – wyniesimy cię w gruzie, nie udusisz się, to tylko chwila, ale musisz pomóc. Musimy cię zasypać, weź folię, przykryjesz się, da ci to trochę powietrza. Trzecia kasta...Andy, ciągnij tu je. Po jednej. Biegaj.

Andy polazł tunelem do góry, wznecając konkretne tumany pyłu. Ron nachylił się do Kyle'a:

- Jesteś z zachodu drogi? Czy z miasta może?

Nie miało sensu odpowiadać. Oni nie rozumieli nic, Kyle nie rozumiał nic. Milczał, próbując poukładać to zwariowane puzzle w jakąś całość.

- Jakim cudem dźwigniecie te skrzynie z betonem tylko we dwóch? I jeszcze ze mną w środku?

Dało się słyszeć powracającego Andy'ego. Musieli mieć gdzieś te pojemniki zawczasu przygotowane. Obsypany na świeżo betonowym brokatem przyniósł plastikową podłużną kastrę, a nawet po bliższej analizie dwie – jedną włożoną w drugą.

- poszli, szefie – zakomunikował.

- to nawet lepiej, wolę już ich kamery od nich samych. - Ron zwrócił się następnie do Kyle'a - to skąd jesteś?

- z Wilmington – powiedział niepewnie – tak przynajmniej sobie przypominam.

- to musi być blisko miasta, bo tu w okolicy nie ma nic takiego – skomentował Andy a Ron kiwnął głową, a po chwili kalkulacji kontynuował poprzedni wywód:

- za bramę i tak nie wyjdiesz ze skarpy, gdzie wysypimy gruz. Andy zostanie na wysypisku do rana, ty wyjdiesz ze mną z jego chipem. Nawet gdyby go tam znaleźli to powie, że przysnął ze zmęczenia. Nie połapią się, a rano i tak wracam tu do roboty, Andy będzie na miejscu. Najwyżej im się na bramie nie zgodzi to swojego opierniczą.

- Ten chip to jakaś karta, taki identyfikator?

Ron westchnął.

- musisz być jednak z daleka. Nie, jest wszczepiany pod skórę na szyi za uchem. Prawym konkretnie.

Rozdzielił kasty, wyjmując jedną z drugiej, ciągnąc za oburęczne uchwyty, które miały na końcach,

będące również jedne w drugich. Nieźle do siebie pasowały, aż tak nieźle, że zasysane pomiędzy dna skorup powietrze utrudniło wyraźnie tę gwałtowną czynność, wytwarzając przy tym krótki świst. Optymalizacja, jak w FEMA – pomyślał przez moment, ale już wrócił na główny tor:

- to jak Andy da mi swój?

Ron rozglądał się, jakby betonowe ściany miały oczy. A może po prostu przewrócił oczyma w odruchu dezaprobaty?

- on już dawno swój w uchu nosi. Wydłubał. Maszynki i tak go widzą jakby był w ciele. Pokaż mu, Andy.

Mniejszy zdjął kask, wyjął z ucha maleńki woreczek z materiału, oblepiony cały woskowiną i podetknął pod nos Kyle'owi. Ten wzdrygnął się i wymamrotał:

- jasne wszystko. Mam to mieć w uchu?

- jasne, że w uchu, w prawym. Porządnie wepchaj, żeby ci się nie wysunęło, tego nie można zgubić. Jak zgubisz, to jesteś bezimienny. Andy naprawdę ci ufa, dając ci swój.

Ron kiwnął dłonią i Andy oddał złotawy woreczek. Minę zrobił przy tym taką, jakby rozstawał się z jakimś mocarnym pierścieniem, od którego zależał jego dalszy byt.

Kyle wepchał woreczek do ucha – było w nim coś podłużnego i twardego co w połączeniu ze szmacianą otoczką i innymi dodatkami oczywiście zatkało mu je całkowicie. Dość zrozumiałe wydało się teraz, dlaczego wcześniej koledzy od rozbiórek byli tacy głośni – zapewne chip Rona był również w jego uchu.

- dobra, włącz do wanny – zarządził Ron, a domyślny Andy już włókł folię z kanki, w której poprzednio leżał Kyle. Nawet nie tą czarną – zdarł powłokę legowiska i ona również była foliowa i prawie całkiem przezroczysta.

Wie więcej, niż może się wydawać – od razu wiedział, że ta folia tam jest, a ja jej nie zauważyłem, a przecież miałem całość w rękach – pomyślał Kyle, gramoląc się do plastikowej wanny i uważając na ranioną rękę. Nie było to wcale trudne i pomyślał sobie, że nabrał już sił. Przedziurawioną rękę miał konkretnie zawiązaną na ranie płócienną szmatą i krwawienie kompletnie ustało. Andy położył na nim folię i z satysfakcją stwierdził – szefie, ogarnie!

- Dobra, skocz po jeszcze jedną i jakieś szufle – Andy natychmiast powędrował do przekopu.

- Ron, mam pytanie. Po co właściwie już leżę pozwijany w tej wanience, jak sam powiedziałeś, że wcześniej wyniesiecie inne, z gruzem?

Ron nie odpowiedział tylko zabrał się za ładowanie drugiej z kastr. Nie miał łopaty, więc po prostu położył kastę na podłodze bokiem, dopchał do gruzu i szybkimi ruchami nagarniał co większe okruchy betonu i szło to bardzo szybko. Mniej więcej jak już była w połowie pełna, pył postanowił polatać sobie konkretniej i wyraźnie podrażniony jego programem artystycznym Ron przerwał robotę, zrobił ze dwa kroki do tyłu, do czystszeo powietrza i zebrał się na odpowiedź:

- Muszę mieć pewność, że się nie ruszasz i jesteś cierpliwy. Wiem, że cię boli, ale nie ma wyjścia – ka-

mery są wszędzie i musisz być pod gruzem. Nie jest taki ciężki. Co więcej, nawet jakby w nim grzebali, to masz nawet nie pisać – bo wtedy nie tylko po tobie ale i po nas. Ale lepiej, żebyś już przyzwyczajał się do tego, co masz zrobić.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Piro, dodano 24.04.2018 18:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.